

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 30 października 1909 r.

Nr 44.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

31

Powieść historyczna.

A tymczasem dzień za dniem schodził bez wieści stanowczej, bez hasła, któreby bodaj pozwalało ku pewnej dacie się akomodować.

Hrabianka spodziewała się odzewu od Cezarego najpóźniej we wtorek, na dzień dwudziesty czwarty marca, a tu minęła już i środa, i czwartek, i piątek, i sobota ku schyłkowi się ważyła, a odzew nie przybywał.

Emilię takie rozdrażnienie, taki bunt ogarnął, że miejsca sobie znaleźć nie mogła, że w połowie wieczery zerwała się od stołu do swej komnatki, aby łez, które ją dławily, nie okazać, aby rozpaczliwym łkaniem, które jej pierś targало, nie wybuchnąć.

W komnatce czekała na hrabiankę Anetka.

Emilia nawet nie spojrzała na przyjaciółkę, osunęła się na krzesło i twarz w dłoniach ukryła.

Anetka starała się zaręczać, iż kurier od grafa Cezarego niechybnie w drodze być musi; iż, kto wie, czy Cezary nie dowierzając posyłce, sam nie wraca; że nielada musiał mieć racye do zwalczenia i że czas na oczekiwaniu i jej, Anetce, nieznosnym jest,—ale cóż, gdy niema innej rady..

— Jest inna! — podjęła gwałtownie hrabianka. — Nie oglądać się na nikogo, samym zaczynać..

— Bez grafa Cezarego!..

— Tak. Zdąży nadjechać, więc szczęście; nie zdąży, trudno. Nie ma ratunku, niema godziny do stracenia!

— Ależ jedna rozpacz...

— Rozpacz? prawda! Lecz ta rozpacz narodzić może wiele dobra, może dodać otuchy, może porwać falę ludu! Sama nie wiem, nie rozumiem dlaczego, ale przecucie mi powiada, że walka już wre u nas, że ziemia już krwią spływa! I nie może być inaczej! Toć nie podobna, aby do dziś dnia nie zerwał się duch mężny, aby do dziś dnia nie znalazło się jedno bodaj serce, któreby nie wypowiedziało posłuszeństwa mataczynom politycznym, któreby nie zapragnęło bohaterskiego skonu! Przeczucie to prze mnie, szarpie, myśli płacze! My tu, na skraju Litwy, ani wiemy, co dzieje się tam, pod Kownem, pod Grodnem, pod Nowogródkiem!..

— Doszedłby nas bodaj słych! Posesor dusiacki wczoraj z Wilkomierza wrócił... i nic. Tyle nowego, że śledztwo w Telszach trwa i że Manteufel z Niemcami sądy sprawuje!

— Dlatego, że za Borysewiczem nie poszli inni, że za Sałantami nie ruszyły się wszystkie gminy.

— Tego i dla nas obawiał się wszak Cezary!

— Pozwól, jakie wiadomości przywozisz?

Anetka zawahała się.

— Półnos był w Suboczu u Buchowicza...

— I cóż?—badła natarczywie Emilia.

— Doradzają, aby ochotników rozpuścić po domach i zatrzymać jeno objętych rekruckim spisem. W puszczy bowiem, krom leśniczówki, niema schronienia, a bezczynność nużyć zaczyna... Nadto od Krzyżborka kurlandzkiego i Kokenhuzy mówią o zbrojeniu się Niemców i o formowaniu milicyi ze straży leśnej!

— Więc masz jeden argument więcej, jedną konieczność więcej!..

— Półnos atoli zapewnił, że jeszcze za trzy dni można ręczyć...

— Trzy dni! A po trzech dniach czeka nas rozprzężenie, klęska dobrowolna, niechybna!

— Mamy zatem przed sobą dwa dni. Cezary może zdąży, a może od kawalera Grużewskiego nadejdzie nowina.

— Od Grużewskiego! Ach, niezawodnie, z zapytaniem, czy niema wiadomości, i pięknem oświadczeniem, że i on czeka, i stu takich, jak on, czeka... i że i tam marnią najlepsze sposobności. Słyszałaś, Staniewicza im uwięzili. Więc teraz wyglądają nowego sejmiku i elekcyi nowego marszałka! Nie winię zresztą Grużewskiego, boć na imię mu tysiące. Nie, nie! dosyć tego daremnego spodziewa-

nia, dosyć... Mamy owsiejowskich, mamy kilkudziesięciu imbrodzkich, których wuj Mohl przyrzekł, będziemy mieli pana Kazimierza, ten nie chybi, a na koniec mamy lud dusiacki...

— Lud, prawdopodobnie, bo oddziału sformowanego hrabia Władysław nie ruszy bez Cezarego... dał parol.

Hrabianka obstawała dalej za rozpoczęciem kroków stanowczych. Anetka zaś, wbrew zwykłej swej powolności, broniła z takim zapalem Cezarego, z takim przekonaniem dowodziła, że bez niego cały zamysł na samobójczym skończy się szamotaniu, na bezcelowych ofiarach, że Emilia uległa, a raczej poddała się bolesnemu przygnębieniu.

Cisza zaległa pokoik. Emilia na ostatnią apostrofę Anetki nic nie odrzekła. Pannie Prószyńskiej znów odniesione zwycięstwo rozmarzenia przyczyniło, bo razem z wypiekami na twarzy, z przyspieszeniem serca biciem, pomknęła w dal oczyma.

Wtem, płonąca na stole lampa olejna prychnęła żwawszem światłem, a tuż w odpowiedzi za wązkiemi drzwiami, od strony schodów, rozległo się lekkie pukanie.

— Ktoś z Dusiat! — szepnęła domyślnie Anetka, śpiesząc otworzyć drzwi.

Na ciemnem tle wyjścia na schody zarysowała się siwa głowa starego Mateusza, stangreta likснаńskiego, a tuż za nim zaskrzyły się bystre, przenikliwe oczy.

— Kto to?

— Do jaśnie hrabianki... ksiądz zakonny—objaśnił Mateusz, puszcżając przed się młodego jeszcze duchownego, spowiniętego czarnym płaszczem.

Duchowny postąpił naprzód, "pochwalonym" przywitał i odrzucawszy płaszcz, wyjął z torebki, zawieszoną u paska na białym habicie, srebrny pieniążek i na stole go położył.

— Od kawalera Grużewskiego, z Kielm—objaśniła Anetka, rozpoznając umówiony znak.

— Z Rosień przybywam!—poprawił zakonnik donośnie.

Hrabianka, którą, po chwilo-wem ożywieniu na widok przybyłego, ociężałość zdjęła, wskazała na krzesło.

— Prosimy! Dobrodziej drożony...

— Mam honor z hrabianką Emilią Plater?

— Tak.

— Jestem Jasieński, dominikanin oszmiański... Szczęśliwe zrządzenie Opatrzności czyni mnie wysłańcem naczelnika powiatu rosieńskiego!.. Rosienie wzięte! Powstanie cały powiat ogarnęło! Na kanale Windawskim wszystkie zagarnięto posterunki...

Hrabianka porwała się na równe nogi.

— Boże, Boże!.. więc stało się, więc nareszcie upragniona godzina wybiła!.. Mów, dobrodziej, powiadaj!..

— Załoga rosieńska nie wytrzymała naporu, choć straż pograniczną miała za sobą. Uległa. Niedobitki uszły za pruską granicę. Nasze oddziały już ku Szawłom i Telszom hasła niosą. Upita wre. To wszystko, co mi naczelnik donieść polecił, a raczej opowiedzieć to, na com własnymi oczyma prawie patrzył. Wpadli do Rosień, jak huragan, tchem jednym dokonali tego, na co inni ważyli się od miesiąca. A naczelnik pierwszy siedł, on darł się w odmet najgroźniejszy. I w Rosieniach wesele wielkie. Ksiądz z ministrem kalwińskim ludowi równość stanów obwieszcza, a rabin rodalami im wtóruje. Jeden Bóg na niebie, miłościwa hrabianko, jedna ziemia rozdona!.. Sam Stwórca tej równości snadź żądał, boć dysydenta za pierwszego naczelnika i pierwszego bohatera sobie obrał...

— Dysydenta?

— Tak. I niech mi to za grzech poczytanem nie będzie, iż modliłem się i modlić się będę, aby tacy dysydenci, jak imć pan Juliusz Grużewski, na kamieniach nawet nam się rodzili...

— Więc Grużewski! Grużewski jest naczelnikiem!? Więc to on!?—zakrzyknęła z radosnem zdumieniem hrabianka.

— I on tylko. Gromada zacnych młodzieńców go otacza; ale bez niego do dziś dnia z zachością swoją-by biadowała i czekała.

Emilia była tak oszołomiona nowinami, że po dziesięćkroć razy też same zadawała pytania, że ni-by pieśni, najczarowniej napierała się tych samych dźwięków.

Lecz Jasieński przerwał te pytania.

— Miłościwa hrabianko, wiekby można o tem powiadać. Pilno mi w drogę. Oszmianie mojej rad bym coprędzej zwiastować te dobre wieści. I tak sprzeniewierzyłem się jej bardzo, bardzo. Nie śmiałem odmówić naczelnikowi, ile że zapewnił mnie, że nowina najgodniejszemu sercu przedewszystkiem się należy. Teraz czas, czas wielki!

— Nie ważę się zatrzymywać, bo i tu trzeba czynić, bo i tu aż nadto długo czekano!.. Niech was Bóg prowadzi, dobrodziej. Ale może dopomóż czemmożę? dobrodziej drożony?...

— Jeżeli łaska, prosiłbym o zmianę moich mierzynków. Ustają mi z kretelem, a niema kiedy dać im wytchnienia.

Anetka wyszła z zakonnikiem, aby zmianę koni dlań zarządzić.

Hrabianka poglądała przez chwilę rozblyszczonemi oczyma ku drzwiom, za którymi skrył się biały habit dominikanina, aż pierś jej rozfalowała się, aż drżeniem radosnem zagrały jej pulsa, aż ze ściany spojrziała ku niej jasna, załzawiona twarz Chrystusa.

I Emilia ku tej twarzy wyciągnęła ramiona i padła na kolana.

W pół godziny niespełna po odjeździe wysłańca z Rosień seny, cichy pałac antuzowski drgnął, światłami trysnął, zaszamotał się w sobie i zapadł w odrętwienie, jak człowiek, któremu łkanie piersi rozsadza, a ból szalony dławi obco-cześnie i oddech, i serca bicie.

A potem u podjazdu zatupały wierzchowce, zgiełk cichy, żalotny, zmieszał się ze rżeniem koni i brzękiem ostróg, a potem sześciu jeźdźców wyrwało się z pałacowego obejścia i pograżyło się w płachcie ponurej, bezgwiezdnej nocy.

Dnia następnego skromne, ciche miasteczko Dusiaty, położone tuż nad wielką taflą jeziora, a bokiem opierające się o koryto niewymyślnej rzeczki Dusiatki, która dalej dopiero Świętą się zwie, już od wczesnego ranka zaszemrało osobliwym rozruchem. Miast bowiem, jak bywało przy niedzieli, wczasu dłuższego zażyć a turbować się przystojnem ogarnięciem, ludzie na uliczki wylegli, co starszych a doświadczeńszych otoczyli i dalejże radzić a prawdy szukać.

Ba, ale owej prawdy nie rychło było dociec. Ten słyszał, tamten słyszał, jeden dodał, drugi ujął—nic nie wiadomo. Jeden pałac dusiacki wiedział akuratnie, choć bodaj i nie wiedział, bo grafa Czarego w domu nie było, a młodszy graf sam rządzić się nie mógł. A przecież coś być musiało—nie bez kozery dworscy pędzili na przełaj ku Suboczowi, nie bez kozery Girkalnis, co do dnia siano do dusiackiego lasu wozi, powiedział kowalowi:

— Od jutra znów wszystko nasze będzie!

Gdybyż tylko to! Ale już nie kował jeden, lecz cała czereda była świadkiem, jako Durbinas, borowy antuzowski, zajechał na plebanie do proboszcza. I zajechał w kurcie granatowej z amarantowym kołnierzem, z krzyżem swoim żołnierskim, w czapie rogatej, z flintą przez ramię zawieszoną, i pałaszem u boku. Ludzie ledwie go poznali, bo tak buńczucznie się prezentował, że gdyby nie oko osmalone, nikomuby w głowie nie powstało, iż to kluczwojta dusiackiego dziewierz. Na domiar, kiedy go zagadnięto, Durbinas jeno rozśmiał się i, zaciąwszy konia, zawołał:—A tam, na południe, popatrzyś jeden z drugim dobrości!

Mieszkańcy Dusiat jeszcze się uporać nie zdołali z dręczącymi ich pytaniami, gdy zewsząd lud okoliczny jął walić do miasteczka a do kościoła ciągnąć, choć ten jeszcze ani sygnaturką nie bąknął. I żeby tylko okoliczny lud — ale i uszpolski, i jużancki, i antuzowski, i podsubocki, i imbrodzki.

Własnym oczom uwierzyć było trudno, skąd się ta ćma pogłowia brała, czemu poniechała własnych parafii, gdy w Dusiatkach ani odpustu, ani procesyi.

Tymczasem lud precz ciągnął do Dusiat i takimi gromadami, że kiedy dzwony się ozwały, kiedy dusiaccy do kościoła podążyli, to już lichy kto z nich zdołał się do nawy przecisnąć, większa część musiała kruchtę i opłotki przedkościelne zaledz, a na wietrze i pod gołem niebem pozostawać. Z tego i pomruk nieukontentowania dusiackich przebiegał, i dystrakcja w modlitwie, bo nieopodal, przed zakrystę, raz za razem zajeżdżały pańskie pojazdy a bryki posesorów, bo służba w barwie tłoczyła się a do kruchty darła.

Aż nareszcie ozwały się organy i głosem swym uspokojenia przyczyniły.

Nabożeństwo zaczęło się zwykłym ładem, w modlitewnym skupieniu, które, jako co niedzieli, przerwało wejście proboszcza na ambonę.

Dusiaccy, stojący pod kruchtą, na dźwięk pierwszego słowa kazania podali się ku przodowi, aby coś przecież usłyszeć, — ani myśli: ciżba, wypełniająca kościół, oparła się. Więc ustąpili, wsłuchując się apatycznie w głuszę, którą wiało ku nim wewnątrz świątyni.

Naraz lud, stłoczony w kościele, jęknął i runął na kolana.

Dusiaccy spojrzeli po schyłonym przed nimi pogłowiu a, kłoniąc się niepewnie, suponowali, jako ksiądz musiał nielada jako grzechom wszelakim dopiec, gdy taka skrucha w narodzie zakolatała.

Aliści, ku wielkiej alteracji dusiackich, znających wskroś proboszcza swego obyczaje, ksiądz Hryszkiewicz, zamiast pięścią na ambonie ostateczny cios złości dyabelskiej zadać, do błogosławieństwa ręce wznosił i zagrzmiął tak potężnym, tak rozradowanym głosem, że dusiackich zgoła gorącość oblała a błogością przejęła. Słyszeli teraz oderwane zdania, każde słowo teraz docierało im do zrozumiałości, łyzy im ciurkiem ciekły po obliczach, weselem spływało

serce, a przecież nie potrafiliby rzec, czemu ten tłum przed nimi kaje się w szlochu, za co dzięki składa, co księdzu proboszczowi chórem ślubuje.

Na domiar organista, czy w tem wzruszeniu pomiarkowanie stracił, czy się splątał, dość, że nie bacząc końca sumy, ryknął basem i *Te Deum* zakalikował ogniście.

Tłum, zebrany w kościele, strzymać dłużej nie mógł, zakotłował się, nacisnął dusiackich i rzucił się ku wyjściu, bo pilno mu było do gadania, do krzyczenia, do podzielenia się wezbranami uczuciami, do radowania się.

Na placu przed kościołem zawrzało w okamgnieniu. Tysiąc naraz odezwało się głosów, tysiąc pytań padło, tysiąc odpowiedzi. Ludzie obcy sobie, nieznani, rozprawiać jęli zawzięcie, znajdując równie blizki a serdeczny dla się przedmiot. Ale, że tłum był niejednolity, boć tyle liczył dusiackich, co i przybyłych z Antuzowa, Uszpoła, Jużant czy Subocza, tedy i rzeczy tłómaczenie było rozmaite i wątpliwości coraz więcej się mnożyło. Ten i ów mowniejszy a estymy zażywający kmieć, ten i ów z cywunów, ekonomów, czy zagrodowych szlachciców, usiłował kwestyę rozstrzygnąć, lecz, nim z jedną się uporał, już waliła druga i taka, że ani weź z niej wybrnąć.

Stąd, kiedy na placu przed kościołem, ukazał się pisarz gminny, imć pan Ciupajko, wnet go mrowie obległo, a z kilkudziesięciu ust zerwało się pytanie:

— Jaka-że teraz jest wolność chłopom?

Imć pan Ciupajko, który, według swego narowu, pałeczkę przy święcie już od rana zalał, wytrzeszczył oczy na tłum.

— He?.. wolność chłopom? He?

— Według tego, co ksiądz proboszcz kazał!

Imć Ciupajko potarł spoczone czoło, czknął okowitą i powieki przymknął, niby dla lepszego rozejrzenia się w przyćmionej mózgownicy.

— Sprawiedliwie kazał—powiadał chłopom,—sprawiedliwie!

MARZYCIEL.

41

Ale nie dał się tym gorączkowym majakom, gdyż tkwiło w nim coś potężniejszego od wszelkich strachów, coś, co go pchało niepowstrzymanie, a czemu jużby się nie mógł oprzeć, gdyby nawet chciał. Więc skoro nareszcie dosięgnął drzwi, pierzchnęły wszystkie obawy i przywidzenia, poczuł się zupełnie spokojny i na wszystko zdecydowany; przygiął się tylko, jakby do skoku, i wyciągnął drapieżnie ręce...

Łóżko stało w drugim końcu pokoju, obok szerokiego okna, z którego sączyło się nieco mętnego brzasku, drzewa chwiały się za szybami, a niekiedy gałąź trącała w szkło jakby suchym, kościstym palcem, poduszki bieleły z mroków, niby z pod sadzy, zegar szeleścił swoim wiecznem: raz, raz; raz, raz! oddechy rozlegały się rytmicznie...

Już stanął przy łóżku, gdy Mikado się poruszył i coś zamruczał przez sen.

Józio nie drgnął i cierpliwie czekał przez długą chwilę...

Przeszła jednak. Posunął się nieco naprzód i tak się nisko nad nimi pochylił, że poczuł ich gorące, przesyczone wódką oddechy. Wyprostował się machinalnie, aby zaczerpnąć powietrza; robiło mu się strasznie gorąco—i chociaż był zupełnie spokojny, serce tłukło mu się, jak obłąkane...

Nadeszła ostatnia chwila... jeszcze jeden krok... jeszcze jedno sprężenie woli... jeszcze tylko jedno wyciągnięcie ręki... Naraz—dziw, że nie krzyknął, dotknął się bowiem spuszczonej bezwładnie głowy Frani; sparzyła go, jak rozpalone żelazo... Zawahał się przez мгновение... ale zebrał wszystkie siły, wsunął rękę pod poduszkę i wyciągnął pugilares, uderzając równocześnie łokciem w stolik, aż coś z brzękiem zleciało.

Zmartwiał, jakby zabity na miejscu.

— Kto tu?—zamruczała sennie Frania.—Kto?—powtórzyła, macając po stoliku.

— Szukałem zapalek!—wybełkotał z najwyższym wysiłkiem.

— Która godzina?

Zapaliła papierosa i podała mu zapalnik.

— Świta! Muszę już iść na pociąg...

Francia jeszcze coś powiedziała, cisnęła papieros na pokój i padła uśpiona.

Przeczekał cierpliwie kilka minut i odszedł równym, automatycznym krokiem, starannie zawierając za sobą wszystkie drzwi; w przedpokoju nasłuchiwał jeszcze czas jakiś, ubrał się poomacku i najspokojniej wyszedł, ale przed domem zabrakło mu nagle sił, zatoczył się na ścianę i długo dyszał, nie mogąc się poruszyć z miejsca; dopiero kiedy psy rzuciły się do niego z radosnem skomleniem, zerwał się i zaczął gwałtownie uciekać, bo mu się naraz wydało, że ktoś za nim krzyczy:

— Złodziej! Trzymajcie! Złodziej!

Uciekał przez ogród jakby oszalały, ale zastąpił mu drogę na plant jakiś osobowy, który przesunął się dziwnie powoli, migocąc oświetlonymi oknami, niby rzędem wytrzeszczonych uciekających oczów. Józio zaszłuchał się tak głęboko, w rytmiczne uderzenia kół o szyny, że zapomniał o wszystkim. Zbudziła go dopiero głucha cisza. Obejrzał się trwożnie—pociągu nie było już nawet widać, dom Buczka szarzał ośnieżonemi dachami, a za nim czerniała potężna ściana lasu. Zrobił parę kroków i znowu przystanął, jakby się nad czymś namysławiając, rozglądał się przytem na wszystkie strony i słuchał z wytężeniem. Noc była cicha, deszcz ustał, a natomiast polatywał gęsty, puszysty śnieg, roje białych motyli wirowały w ciemnościach niezliczonymi skrzydłami, zasypując świat rozdrzganym, sinawym brzaskiem i zaledwie odczuty szelestem, tylko niekiedy jęknęły przeciągle druty telegraficzne, jakby trącone rozżłaskanem we-

stchnieniem, lub nadpływały głuche dudnienia dalekich jeszcze pociągów.

A Józio chwiał się, niby nad przepaścią, w jakiejś niemej a straszliwej rozmowie z własną duszą, czasem zajączał rozpaczliwie, czasem wzdygał się lodowatym dreszczem, i coraz niżej, i coraz pokorniej schylał głowę, aż wreszcie ugiął się przed nakazem sumienia i z bohaterską rezygnacją powrócił do Buczka... Szedł głośno i hałaśliwie, umyślnie nawet trzaskając drzwiami—wracał, aby mu rzucić pugilares wraz z tem jednym słowem: „Ukradłem!“ I czekać spokojnie końca! I czekać, mój Boże, i czekać... i...

Spali jednak, jak zabici. Wołał na nich, szarpał—żadne się nie przebudziło. Wsunął pugilares na dawne miejsce i wyszedł prędko, ale na palcach... Psy odprowadziły go na plant z jakimś nieprzyjaznem warczeniem.

Nawet nie słyszał, wlokąc się ociężale i potykając na każdym kroku o szyny i podkłady... Bo i cóż, że skradzione pieniądze zwrócił dobrowolnie i gotów się był oddać na łaskę i niełaskę Buczka, kiedy i tak podnosił się w nim srogi, karzący głos sumienia, który mu szeptał z nieubłaganą mściwością:

— Podły! Podły! Podły!

Napróżno wyciągał błagające ręce, napróżno w skrusze najgłębszej się kajał, napróżno żebrał zmiłowania—ten głos straszny nie ścichnął, lecz wciąż, z jednaką mocą szarpał mu mózg, że szedł jakby policzkowany i bity świszczącymi różgami hańby...

Śnieg walił już tumanami, wytrząsał się, niby z worów niezgłębionych i zasypywał ziemię wilgotnemi puchami; noc zbladła i uczyniła się szarawem bielmem, lasy stały bez ruchu, ciche, zdrętwiałe i jakby zapatrzone w wełnistą ulewę śniegów, a tylko gdzieś niedaleko z pod białych kozuchów wyciągały się nad Józkiem jeszcze czarne, sękatę gałęzie, jakby litościwie błogosławiące ręce, że, mimo wewnętrznej męki, zaczynał się im przypatrywać z coraz większą uwagą.

DCN.



Wschód słońca.

Bezmierny stęp, jak tarcza ku niebu zwrócona,
Tarcza koloru stali, od pyłu matowa.
Nad stępem tarcza z miedzi—płomienista głowa:
Twarz księżycy, w twarz stępu cicho zapatrzona.

Otwierają przed sobą zagadkowe łona,
Gdzie drzemią wieki zmarłe... Szemrzą senne słowa,
W których żyje przycichła dawna pieśń bojowa
I czyn zgasy, co wieki śród bezwładu kona.

I po strunach srebrzystych z dalekiej wyżyny
Płyne modlitwa smutku na puste równiny —
Czar, co ziemię całunkiem pieści i zachwyci.

Ślucha ziemia — i sen swój śni twórczy, jedyny,
Patrząc w smutek zaciszny miesięcznego lica,
Gdzie bezdenna, łez pełna—legła tajemnica.

Na polanie leśnej.

Szemrzą trawy, ukryte w wilgotnej ustroni,
Wplecione w rdzawe kępy mchu, w rumiane wrzosi;
Pachnie łan macierzanki, — czasem kropla rosy,
Tocząc się po lodydze, jak perła zadzwoni.

Upał. Snują się baśnie: barw, szmerów i woni —
I płyną miękkim tchnieniem pod ścichłe niebiosy...
Ciężkie, błękitne ważki gną traw długie kłosa...
Wszystko tu pije słodki czar słonecznej dłoni.

A zdaleka, z za lasu—czasami dolata
Głos jakiś: wioski mojej niemilknąca wrzawa —
I we wrzosach się gubi i w szmery się wplata.

A z daleka czasami na wspomnień ścieżynie
Jakiś kształt dni ubiegłych w tęczach jasnych wstawa,
Jakiś kształt z dni przeszłości w tęczach złotych płynie...

Tęsknota.

Złote zboże dźwigała ziemia na swym łanie,
Haftowanym w szczaw rudy i smukłe bławaty;

Bór z rosy bursztynowej sączył aromaty,
I dziewanny, wsłuchane w fal płynących drganie,
Śniły cicho, gdy słońce z góry kładło na nie
Pieszczotę pocałunków... W taki to dzień z chaty
Marzeń wyszedłeś z sierpem—zbierać plon bogaty
Na rozłożonym, jasnym Ducha mego łanie.

Więc dziś tak mi się splotła postać twa wyniosła
Z poszumem boru, z wrzosem pachnącym w upale,
Z barwą kłosów i z płaczem znikającej fali, —

Że, morzem losu gardząc, ster łamie i wiosła,
Trud porzucam i patrzę w rozświetlone dale,
Gdzie błądzi myśl Twa—czy się doli mej użali.

Noc w stepie.

Noc idzie stępem. Pomuro i czarno:
W burzanach wichur czasem zaszeleści...
Czasem dźwięk jakiś padnie w głuszę parną
I, zabłąkany, przepadnie bez wieści...
Czasem duch błędny z nieznanej mogiły
Wstanie i serca te, co w stepie były,
Budzi, zwołując na ucztę boleści.

Idą w dal czarną pogwary echowe:
Czasem głos jakiś westchnie i zaszeleści...
A potem wichur te cienie widmowe
Strwoży i skłębi... wichur, co przestwór kocha,
I stęp przebiega od krańca do krańca,
Szumiąc skrzydłami... Do dzikiego tańca
Stają: Noc z Wichrem—dwie moce stepowe.

A ponad wszystkim ta straszna potęga,
Co szalom stepów udziela pomocy!
Ponad głosami—ten głos, co gwiazd sięga!
Ponad mocami—to szaleństwo Mocy!
O, wszechpotężny! cóż cię zjednać może?
O, bezlitośny, o, milczący Boże,
O, Boże wichrów, rozpacz i nocy!..

WACŁAWA GRODZICKA.

Robert Hichens.

Przekład z angielskiego.

OGRÓD ALLAHA.

44

Nakierowała swego konia bliżej do konia Androwskiego.

Koń jej pochylił głowę, aż poki nie tknął ziemi nozdrzami, a wtedy wstrząsnął się w dreszczu przeciągłym. Domini wstrząsnęła się również, jakby w odzwie na tę niesnaskę zwierzęcia.

— Śmierć tu gościła — rzekł Androwski, przemawiając wreszcie cicho i wskazując swoim długim batem ku szkieletom wielbłądzim. — Zejdź, Domini, konie pomęczone.

W godzinę później Domini rzekła do Androwskiego:

— Czy naprawdę masz zamiar iść wieczorem na gazele?

— Cóż będzie, jeżeli pójde? — rzekł, zwracając się ku niej, gdy przedtem obrzucił wzrokiem pustynię.

— Nic, lecz może jesteś zmęczony?

Potrząsnął głową.

— Nie mogłem jeździć, a teraz jeżdżę. Nie mogłem strzelać, a teraz właśnie zaczynam...

— Idź! — rzekła szybko. — Zre-sztą potrzebna nam istotnie gazela na obiad. Tak powiada Batucz, chociaż ja nie sądzę, byśmy i bez niej umarli z głodu.

Zbliżyła się do drzwi namiotu

i stanęła obok niego, a on otoczył ją ramieniem.

— Gdy zostanę tu sama dzisiaj — rzekła, poddając się jego ramieniu, — wiem, że będzie mi okrutnie smutno.

— Mam zostać?

Przytulił ją do siebie.

— Nie. Wiem, że powrócisz rychło. Jakże to dziwnie, żeśmy tyle lat żyli, nie wiedząc wzajem o sobie, żeśmy żyli samotni. Czyś był kiedy szczęśliwy?

Zawahał się, zanim odpowiedział.

— Chwilami myślałem, że byłem.

— Lecz teraz, czy sądzisz, żeś był kiedy szczęśliwy?

Nic nie odrzekł, lecz po chwili pocałował ją długo i mocno, jak

gdyby pragnął przez te odrzwia ust ściągnąć jej istotę do swojej.

— Bądź zdrowa!—rzekł, zwalnając ją.—Po zachodzie słońca będę z powrotem.

— Dobrze. Nie czekaj tam zmroku późnego. Jeszcze zabłądzisz w tych zaspach.

Wskazała na odległe wzgórki piaszczyste, wznoszące się i opadające melancholijnie na horyzoncie.

— Gdy nie powrócisz wczas—rzekła,—stanę u wieży i będę powiewała głównią płonąca z ogniska.

— Dlaczego u wieży?

— Tam poziom najwyższy.

Odjechał na mule, z dwojgiem arabów, niosących strzelby. Przybyli na równię saletrzaną, która wyglądała, jak śnieg obok morza, które było tylko mirażem. Wtedy wróciła do namiotu, wzięła tom Fromentin'a i siadła w fotelu składanym u drzwi namiotu. Poczytała chwilę—trudno atoli było czytać, mając miraż przed oczyma. Oczy jej kierowały się bez przerwy od książki ku tej tajemniczej i żałosnej smętności, która była, jak smętność czegoś nieziemskiego, jak smętność ducha, który cierpiał, lecz który nie mógł się poruszyć. Nie zamknęła książki, lecz złożyła ją otwartą na kolanach i siedziała, patrząc. Androwski zniknął z arabami za fałdami piasków pustyni. Z nim razem zniknęły promienie słoneczne. Bez Androwskiego i bez słońca—łączyła ich zawsze razem i wiedziała, że tak będzie czyniła zawsze—smętek pustyni wzmagał się dla niej, aż wreszcie przytłoczył ją wielkim ciężarem. Nie była kobietą, skłoną do rojeń chorobliwych. Owszem, wszystko, co chorobliwe, budziło w niej wstręt instynktowny. Atoli ta szarość raptowna powietrza, po tyłu tygodniach płomiennych blasków słońca, złączona z fantastyczną pustką krajobrazu, który był napół rzeczywisty, napół ułudny, obudziły w niej nagle ten stan oschłości ducha, który nawiedzał ją rzadko.

Jak długo tu siedziała, nie wiedziała sama. Było już pod wieczór; zanim jednak zmierzch zapadł, ujrzała na szlaku piaszczystym od zwalów ciągnącą zwolna gromadkę, znużoną, pyłem okrytą, składającą się z trzech żołnierzy, żuawów, i jednego oficera. Jechali sami na mułach i na dwóch prowadzonych mułach wieźli swe skromne bagaże. Gdy wjechali już na wierzchołek wzgórką, skreśli na prawo i dążyli w kierunku ku baszcie. Oficer jechał nieco na przedzie gromadki. Był to dworsko wyglądający, piękny mężczyzna, lat około trzydziestu dwóch, z jasnymi wsa-

mi, niebieskimi oczyma, jasnymi rzęsami i włosami barwy piasków pustyni. Lico jego było czerwone, ogorzałe od słońca. Oczy, jakkolwiek osłonięte wielkimi szklami ochronnymi, były rozplomienione. Skóra na nosie łuszczyła mu się od żaru. Włosy jego były pełne piasku; jechał, pochylając się na szyi zwierzęcia i trzymając bez mocy uzdę rękoma, które ze znużenia zdawały się być bez nerwów. Nie bacząc na to, wyglądał dorodnie i, mimo wyczerpania, zdradzał dobre ułożenie, tak, iż na paradzie byłby się wyróżniał, jako oficer „z prezencją”. Widać było odrazu, że i on, i jego ludzie jadą z jakiejś strasznej wyprawy. Ci ostatni byli, jak psi, pomęczeni i całkiem upadający.

Mała ta kawalkada zbudziła Domini z zapatrzenia się w miraż. Oficer był tuż przed nią, gdy usłyszała razem odgłos kopyt muła po kamienistym gruncie. Spojrzała, zdziwiła się — i oficer zdziwił się jeszcze bardziej, widząc wytworną damę, siedzącą u stóp baszty. Zdumienie jego i zmęczenie nie pozbawiło go atoli odruchu dobrego wychowania, gdyż wyprostował się naraz w siodle, zbliżył palce do kaszketu podróżnego i przeprosił Domini, iż ją niepokoi.

— Jest to atoli moja siedziba na noc, *madame*—dodał, wyciągając jednocześnie klucz z kieszeni swych szerokich spodni.—I rad jestem, żem się wreszcie dostał do niej. *Ma foi!* w ostatnich dniach były chwile, w których nie spodziewałem się, że ujrzę jeszcze Mogar. Zsiadł wolno z muła i stał, trzymając się siodła ręką.

— F-f-f!—rzekł, wydymając usta.—Ledwo się trzymam na nogach. Proszę panią wybaczyć mi. Domini wstała.

— Jesteś pan i jego ludzie porządnie zmęczeni—rzekła, patrząc na nich z zaciekawieniem.

— Niezgorzej, oczywiście. Trzy dni ostatnie w wielkich zaspach byliśmy w burzę piaszczystą i cudem znaleźliśmy wreszcie szlak, gdyśmy już gotowali się... no, na wielką przeprawę.

— Na wielką przeprawę?—rzekła Domini.

— Ostatnią w życiu, proszę pani. Mówił po prostu, nawet z odzieniem humoru, który był prawie drwiącym; w słowach jego atoli odczuła uroczystość i dziękczynność, która ją pociągnęła i wzruszyła.

— Te straszne zaspasy!—rzekła. I zwracając się, spojrzała na piaski odległe.

— Mój mąż jest tam także—dodała.

— Pani mąż?

Spojrzał na nią pilniej, przestąpił z nogi na nogę, jak gdyby próbując ich mocy, a potem dodał:

— Przypuszczam, że niedaleko stąd. Widzę bowiem, że tu jest obóz państwa.

— Poszedł tylko na gazele.

Mówiąc ostatnie słowo, zauważyła, jak jeden z żołnierzy, istne chłopię, oblizał się, a potem zerknął z gestem rozpaczonym ku swym towarzyszom.

Przyszła jej myśl raptowna.

— Niech mi pan nie bierze za złe, ale... jakże tam ze spiżarnią w baszcie?

— O, co do tego, proszę pani, całkiem wyśmienicie. Otwórz-no drzwi, Marelle!

Z temi słowy dał klucz żołnierzowi, który krokiem zmęczonym postąpił i włożył go w drzwi baszty.

— Po trzech atoli dniach w zaspach zapasy musiały się wyczerpać i nie mieliście panowie możliwości zaopatrzenia się.

— Pani nadto dobra. Sporządzimy sobie ku-ku.

— Ale wino? Macie panowie wino?

Wezbrał w niej cały „dobry druh“.

— Pozwoli pan, że mu trochę nadeślę—rzekła.—Mamy go sporo.

Miała na myśli kilka butelek szampańskiego, które przywieźli z sobą, a które było nietknięte.

— W pustyni jesteśmy wszyscy druhami—dodała, jak gdyby mówiąc do żołnierzy.

Ci spojrzeli na nią z jawnym uwielbieniem, które opromieniło ich twarze zmęczone.

— Pani jest nadto dobra—rzekł oficer,—przyjmuję jednak dar pani z taką otwartością, z jaką go pani ofiaruje. Trochę wina będzie z nieba zesłanym darem na ten wieczór. Dziękuję pani.

Gdy tak rozmawiali, zmrok wzmógł się gwałtownie. Spojrzała ku zaspom odległym i już ich nie dojrzała. Myśl jej podążyła od razu ku Androwskiemu. Dlaczego nie wraca? Pomyślała o sygnale. Od obozu, obok ich namiotu sypialnego, uniosło się ognisko, świeżo rozpalone.

— Byłabym bardzo wdzięczną panu—rzekła,—gdyby jeden z pańskich żołnierzy poszedł i powiedział Batuczowi... Batuczowi... żeby tu przyszedł. I poprosiłabym również o przyniesienie mi głowni dużej z ogniska.

Ujrzała zdziwienie w oczach oficera i uśmiechnęła się.

— Chcę dać znak memu mężowi—rzekła,—a tu miejsce najwyższe. Stąd będzie widział najlepiej.

— Ruszaj, Marelle, powiedz Batuczowi i przynieś głównię płonąca z ogniska.

Żołnierz zasalutował i żwawo pojechał. Myśl o winie wlała rzeźkość w żyły pomęczonej gromadki.

— A teraz niech pan nie robi ceremonii—rzekła Domini do oficera—Proszę się iść oporządzić. Zażałował pan, sądzę, do trochy oświeżenia.

— O, tak, pani; pragnę wyglądać choć nieco po ludzku—rzekł z dworskością, patrząc na nią z iskrami uwielbienia w oczach zaognionych. — Pozwoli pani, że powrócę za chwilę i odprowadzę ją do namiotów.

— Dziękuję panu.

— Pani pozwoli... nazywam się de Trevignac.

— A ja... madame Androwska. Jest to nazwisko męża, bowiem ja jestem Angielką—dodała.—A teraz, proszę, nie zatrzymuję pana.

— Za chwilę będę służył—odrzekł oficer.

Wszedł do baszty, a żołnierze wjeżdżali na podwórze, ciągnąc za sobą na linach muły pomęczone.

Domini czekała na powrót Marelle. Usposobienie jej całkiem się zmieniło. Blask uczuć ludzkich, społecznych, odżonał precz melancholię. Naraz postanowiła zaprosić ich wszystkich tego wieczoru na obiad.

Marelle powrócił z Batuczem. Ujrzała ich zoddali, jak szli poprzez ciemność z błyskającymi pochodniami w rękach.

Gdy się zbliżyli, rzekła:

— Batucz, idź i każ przygotować obiad w obozie dla żołnierzy.

Wielka bretońska twarz Marelle opromieniła się łuną uśmiechu.

— A pan oficer będzie obiadował ze mną i z panem. Spraw się jak najlepiej. Może tam będzie nieco gazeli.

Batucz otworzył usta, by oświadczyć, że obiad będzie bardzo skąpy, lecz Domini go powstrzymała.

— I przygotuj parę butelek szampańskiego... Pommery. Wypijemy za ich ocalenie. A teraz dawaj mi pochodnię i idź zarządzić do kuchni.

Gdy dał jej głównię do ręki i zniknął w ciemności, de Trevignac wyszedł właśnie z baszty. Wyglądał wciąż, jak człek wyczerpany, i chodził z pewną trudnością, zmył atoli pył z twarzy wodą ze studni artezyjskiej, która była obok baszty, zmienił mundur, wycesał płowe włosy z kurzu i włożył szykowną czapkę z lampasem na miejsce kaszkietu. Z oczu zdjął okulary, a w usta włożył duże cygaro—ostatnie, które zachował sobie w za-

spach, jako możliwą osłodę na chwilę straszne śmierci.

— Monsieur de Trevignac, pragnę zaprosić pana dzisiaj na obiad—jedyńie na obiad. Natychmiast po kawie i koniakach będzie pan mógł ruszyć do łóżka. Wypijemy po szklaneczce szampańskiego za naszą wspólną pomyślność.

Mówiła wesoło, serdecznie. I dodała poważnie:

— Nie codziennie uchodzi się z rąk śmierci wśród zasp piaszczystych. Przyjdzie pan?

Wyciągnęła ku niemu dłoń szczerze, przyjaźnie. On ją uściśnął, jak ściska mężczyzna dłoń kobiety, gdy w piersi ma tkliwość i czułość.

— To jedno mogę tylko powiedzieć, że pani jest nazbyt dobrą dla nas, biednych żołnierzyków, i że trudno się będzie odczepić od nas, bowiem tak będziemy szczęśliwi w namiocie państwa, że zapomnimy napewno o naszej zimnej baszcie.

— Zatem postanowione.

Z głównią w ręku poszła na skraj pagórka. De Trevignac szedł za nią. Wziął drugą głównię od Marelle. Stali przy sobie, patrząc w nieskończoność pustego obszaru, który obecnie pogrążał się już w nocy.

— Stąd będzie pani sygnalizowała?

— Tak jest.

— Może ja to zrobię za panią? O, mam tu głównię gotową.

— Nie, dziękuję panu. Zrobię sama.

W blasku płomienia, który wzbił się, jak gdyby pragnąc dotknąć jej lica, dostrzegł światło w jej oczach, które zrozumiał; opuścił tedy swą głównię ku ziemi, podczas gdy ona wzniosła swoją i powiewała nią w czarność okolnej.

On patrzył na nią. Trzymał wciąż głównię u ziemi, lecz gdy ona swoją powiewała, uczył nieprzepartą ochotę przyłączenia się do tego czynu, który miał w sobie coś wspaniałego i heroicznego. Uniósł tedy do góry swą głównię i i powiewał nią obok jej główki wśród nocy.

Domini zaśmiała się ku niemu w płomieniach.

— Na pewno zobaczy—rzekła.

Od dołu, zoddali pustyni, wzbiło się głośne wołanie silnego męskiego głosu.

— Ach!—zawołała.

I głosem ciepłym i pełnym mocy ozwała się ku niemu z kolei. Głos męski odpowiedział bliżej. Opuściła głównię ku ziemi.

— Za pół godziny tedy... czekamy pana.

— Z całym sercem podążymy. Ale może mam odprowadzić panią?..

— Nie, tu całkiem bezpiecznie. I proszę przyprowadzić swoich żołnierzy. Sporządzimy dla nich ucztę, na jaką nas tylko stać. Będzie wina dosyć dla wszystkich.

Zaczem odeszła szybko, ochotczo, ginąc w ciemności.

— Taką mieć żonę!—rzekł do siebie de Trevignac.—Szczęśliwy—szczęśliwy człek!

Upuścił swą głównię na ziemię obok jej główki i patrzył, jak płomienie ich mieszają się ze sobą.

— Szczęśliwy człek—powtórzył głośnie. — Ciekaw jestem, jak on wygląda.

XX.

Domini spotkała Androwskiego, powracającego z arabami, na skraju wzgórza.

— Widziałeś mój znak?

— Tak jest.

Chciał mówić dalej, lecz ona przerwała mu żywo:

— Masz gazelę? A!

Na mule jednego z arabów ujrzała zwieszającą się gazelę, z delikatną głową, z cienkimi, spiczastymi rogami, smagłymi nogami i jak wyrzeźbionymi małymi stopkami, które poruszały się do taktu z ruchami muła.

— Przyda nam się bardzo tego wieczoru. Odwieź ją zaraz do kuchni, Achmedzie.

Androwski zsiadł z muła.

— Widzę światło w baszcie—rzekł, spojrzawszy na nią i wraz spuściwszy oczy.

— Tak jest.

— I widziałem dwa znaki. Powiewały dwie główne zarazem.

— Tego wieczoru mamy towarzyszków w pustyni.

— Towarzyszków!—rzekł.

Głos jego zadźwięczał zdziwieniem.

— Ludzi, którzy uniknęli strasznej śmierci w zaspach piaszczystych.

— Arabowie?

— Francuzi.

Opowiedziała mu pokrótce przygodę. Słuchał w milczeniu. Kiedy skończyła, nic nie rzekł. Rzuciwszy wzrokiem na stół nakryty, dojrzał trzy nakrycia. Stał się chmurny i mroczny.

— Nie skarcisz tego, Borysie!—rzekła zdziwiona.—Nie odmówisz przecie gościnności tym biednym zuchom?

Wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła się.

— Czyżbym źle zrobiła? Ale nie sądzę, by tak było.

— Zle! Czyż ty możesz coś złego zrobić?

Wdać było, że czyni wysiłek, jakby pragnąc stłumić coś w sobie.

— To ja nie mam racji, Domini. Ale prawdą jest, że nie mogę znieść, by ludzie wkraczali w nasze szczęście, nawet przez jeden wieczór. Pragnę być tylko z tobą. To nasze życie w pustyni uczyniło mnie takim sobkiem. Chcę być sam, sam, tylko z tobą.

— Tak jest. To radość mi sprawia.

Wspierała się twarzą na jego ramieniu.

— Tedy—rzekł—ten drugi sygnał?..

— Podał go pan de Trevignac. Androwski wyrwał nagle swe ramię.

— Pan de Trevignac?—rzekł.—Pan de Trevignac?

Stał, jak zgnębiony myślą trwożną i mocną.

— Tak jest. Oficer. Tak się nazywa. Ale co tobie?

— Nic.

W ciemności koło namiotów rozdźwiękły głosy zbliżających się osób. Mówili po francusku.

— Ja muszę...—rzekł Androwski—muszę...

Zrobił ruch niepewny, jak gdyby chciał iść ku piaskom, powstrzymał się i ruszył gwałtownie do namiotu, gdzie była gotownia. Gdy zniknął, de Trevignac i jego towarzysze weszli do namiotu.

— Mąż mój zaraz nadejdzie—rzekła Domini.—Spóźnił się nieco, ale zato przywiózł gazelę. A teraz, proszę, niechaj pan zaraz spocznie.

Wprowadziła go do namiotu, gdzie była jadalnia. De Trevignac rzucił wzrokiem na stół z trzema nakryciami i nie starał się ukryć żywego przedsmaku.

— Pani — rzekł, — jeżeli rozgrzeszę się tego wieczoru i będę jadł, jak ów smok z bajki, pani mi wybaczy, nieprawdaż?

— Nie wybaczę, jeżeli będzie inaczej.

Mówiła wesoło, posadziła go w krzesło składanem i zmusiła, że podłożył sobie poduszkę pod plecy.

Czekając na Androwskiego, Domini prosiła de Trevignaca, by jej opowiedział swą straszną przygodę w zaspach. Spełnił to z prostotą, jak żołnierz bez przesady. Gdy skończył, rzekła:

— Śmierć tedy była już pewna?

— Prawie pewna, proszę pani.

Spojrzała na niego poważnie.

— Po takim spojrzeniu w twarz śmierci wśród pustki i osamotnienia musi się życie innym potem wydawać.

— Tak jest, pani. Lecz ja nie czuję osamotnienia.

— Z racji pańskich ludzi?

— Nie, pani.

Po chwili dodał z prostotą:

— Matka moja była nabożną katoliczką. Jestem jedynym jej dzieckiem i... nauczyła mnie ona już dawno, że podczas trwogi nigdy się nie jest samotnym. DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

× Profesor T. A. Hora, jeden z uczestników wyprawy czeskiej do Polski, napisał i wydał w Pilźnie nakładem własnym życiorys zmarłego sławisty, ś. p. Bronisława Grabowskiego, p. t.: „*Bronislav T. Grabowski—obrazek jeho života a literární činnosti*“. Życiorys, pisany z wielkiem uznaniem dla zasług znanego przyjaciela narodu czeskiego, ozdobiony jest jego portretem. Jest to wydawnictwo tanie, mające na celu popularyzowanie wśród Czechów pamięci o polaku, który był takim wielkim ich zwolennikiem. Prof. Hora jest też autorem słownika czesko-polskiego i znawcą naszej literatury.

× Pisma rosyjskie donoszą, że utwór Kasprowicza „*Ad astra*“ został na język rosyjski przetłuszczony.

Z literatury norweskiej.

× *Puścizna po Henryku Ibsenie.*— W trzech obszernych tomach, jednocześnie w wydaniu norweskim i niemieckim, wyszły dzieła, pozostałe po Henryku Ibsenie. Nie jest to puścizna po znakomitym pisarzu w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, gdyż tylko część niewielka całego materiału nie była nigdzie dotąd ogłoszona, głównie utwory poetyckie, z liczby 87, jakie zawierał tom pierwszy, oraz niektóre artykuły z lat młodości. Nie nadają one jednak całemu dziełu ani piętna, ani wartości. Wyżej pod tym względem stoją zebrane ze starych gazet i czasopism zapomniane już prawie dzisiaj artykuły i przemowy, oraz komedia fantastyczna: „*Noc Świętojańska*“. Komedia ta napisana była po powrocie Ibsena z pierwszych podróży za granicę i jest bardzo cennym przyczynkiem do wyświeetlenia epoki przejściowej pisarza i rozwoju satyryki oraz europejskiej Ibsena. Pod względem literackim pozostawia dużo do życzenia. Tom drugi przynosi dramaty młodzieńcze, „*epicki szkic do Branda*“, szkice dramatyczne. Trzeci zawiera nasza z pierwotnymi pomysłami i szkicami do dzieł głównych Ibsena.

I w tych szkicach i pomysłach pierwotnych tkwi główna wartość wydawnictwa; czytając je, stajemy się niejako świadkami procesu tworzenia Ibsena, jego wątpliwości i zmagania się z danym tematem. Czytelnik znajdzie tu niejedno wyjaśnienie, którego dzieła znakomitego pisarza niejednokrotnie potrzebują. Ibsen sam uporządkował i przejrzał cały materiał, jakby go przygotował. Nie wydał wszakże żadnych rozporządzeń co do tego, czy ma być drukiem ogłoszony. Decyzję w tym względzie pozostawił synowi, Sygurdowi Ibsenowi, który teraz, w trzy lata po zgonie pisarza, te pozostałe jego dzieła wydał.

Z literatury holenderskiej.

× *Izraelo Querido. „Menschenswee“ („Znój ludzki“).* Niewiele książek ma tytuł równie swej treści odpowiedni, jak niniejsza. Nie jest to właściwie powieść, jakkolwiek treść obraca się dokoła dziejów rodziny Hasselów; to raczej pełen prawdy a straszny opis roku życia chłopów i drobnych ogrodników w małej wiosce

wybrzeża holenderskiego. „Pracownicy, pogrążeni w swym ciężkim znoju, więcej już nie śpiewali“—to zdanie streszcza całą książkę. Dzieli się ona na cztery części: zimą, wiosną, latem i jesienią, a nad każdą porą roku ciąży ciężka, nieubłagana ręka znoju. Wszyscy niemal, których życie rozwija się przed nami, stoją na granicy głodu, trawi ich gorączka pracy, a obraz skreślony jest z siłą, wstrząsającą do głębi. Kobiety nie ustępują w brutalności mężczyznom—życie ich to jeden łańcuch mozołu, pijaństwa i uciech zmysłowych. Główną postacią książki jest Kees, kłusownik, człowiek siły herkulesowej i gwałtownych namiętności, ale jest to jedyny charakter, który, mimo wszystko, nakazuje szacunek i wznosi się ponad swoich słabych sąsiadów. Nie korzy się przed nikim, nie schlebia, idzie przez życie ponury, milczący, nie obawiając się nikogo, buntując się przeciw niedoli swojej, przeciw ciągłej męce poszukiwania pracy. Nie kocha nikogo, oprócz synka kaleki, i nikt też, oprócz tego dziecka, nie kocha jego. Żona, gorliwa katoliczka, przeklina męża za jego bezreligijność, a współżądnicząc z nim o miłość dziecka, staje się złym duchem zazdrości i rozterki. Dziecko umiera, a Kees Hassel, po scenie strasznej rozpaczli, idzie upić się na śmierć.

Książka to bolesna, jak życie tych w znoju ginących chłopów. Autor p. Querido, niegdyś robotnik w szlifierni dyamentów w Amsterdamie, zajmuje dziś wybitne stanowisko w literaturze holenderskiej, a z utworów jego tchnie przede wszystkim prawda i znajomość ludzi. Wdzięczne opisy krajobrazów, które „Znój ludzki“ ubarwił, stanowią w książce tej efektowny kontrast między pięknnością przyrody a szpetotą znojnego życia chłopów. bn.

Z literatury niemieckiej.

Książka dwunastu autorów. W najbliższych dniach ukaże się na półkach księgarni niemieckich dziwna powieść, w swoim rodzaju unikat literatury świata. Oto dwunastu znanych autorów niemieckich napisało wspólnie tę powieść—każdemu z nich przypadł w udziale jeden rozdział. Są to następujący autorowie: Herman Bahr, Otto Juliusz Bierbaum, Otto Ernst, Hano Evers, Gabryela Reuter, Feliks Holländer, Ernest Wolzogen, Gustaw Meyrink, Gustaw Falk, Georg Hirschfeld, Olga Wohlbrück i Herbert Eulenberg. Książka opatrzona jest słowem wstępem Li-liencrona.

Nakładca wyznaczył sześćdziesiąt rozmaitych nagród za odkrycie autorów poszczególnych rozdziałów.

Wydawca w swej przedmowie do „powieści dwunastu“ powołuje się na opinię Eversa, który ideę książki uznał „za zważywaną, lecz interesującą“.

Es.

TREŚĆ NUMERU 44-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Poezye. *W. Grodzicka.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści“:
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor OPÓWIEŚCI w Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zybkiewicza № 8.

Druk, Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.